

Klub Uczelniany  
Akademicki Związek Sportowy  
Politechniki Gdańskiej

## Sportowe wspomnienia z obozów narciarskich



**M**y sportowcy, którzy należymy do Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego Politechniki Gdańskiej, mamy okazję wyjeżdżać dwa razy do roku na obozy narciarskie w czasie przerwy świątecznej i w czasie ferii zimowych. Każdy, kto raz pojechał w góry na taką imprezkę, czy to na obóz dla początkujących narciarzy do Bukowiny Tatrzańskiej, czy też do Korbielowa, aby zmierzyć się z prawdziwym żywiołem białego szaleństwa na beskidzkich stokach, miał okazję przeżyć niesamowitą przygodę, poznać przyjaciół z prawdziwego zdarzenia, a nawet spotkać miłość swojego życia, o czym można się dowiedzieć z opowieści naszych trenerów...

Na obozy co roku się zapisujemy, bo dobrymi narciarzami być chcemy!!! I to jest oczywiście prawda. Dzień rozpoczynamy o świcie śniadaniem – 8:30. Po pożywej zupce mlecznej mamy siłę i ochotę na obowiązkowe zajęcia na stoku. Zajęcia trwają blisko pięć godzin z jedną przerwą na gorącą herbatkę, którą i tak wykorzystujemy na kolejne zjazdy z górkę na dwóch dechach. Ćwiczymy skręty w lewo, skręty w prawo, piruety kręcimy i nawet na jednej nartce jeździć też potrafimy. W ostatniej chwili zdążamy na obiad. Zarówno po obiedzie, jak i po kolacji mamy ochotę iść na narty i czasami na ochotę się to kończy, gdyż regulaminu przestrzegamy i bez trenera w góry się nie wybieramy.

Na nudę nie ma czasu, bo studencik zawsze coś wymyśli, aby bawić się dobrze i na całego. Chyba, że... przytrafi się coś takiego, jak podczas ostatniego obozu w przerwie świątecznej, czyli niekorzystne warunki atmosferyczne. O katastrofie mówić nie można, bo na nartach jeździliśmy wprawdzie dzięki armatom śnieżnym, ale jednak. Nie poddawaliśmy się, gdy padał rześisty deszcz, i czekaliśmy na prawdziwą śnieżycę. Jednak miarka się przebrała trzeciego stycznia i deszcze "niespokojne" sprawiły, iż wszyscy obozowicze postanowili wyruszyć z Korbielowa do Gdańska, i – jak się okazało – tam gdzie jest śnieg, ale nie ma gór.

Do momentu wyjazdu spędziliśmy dwa dni w naszych apartamentach, nie wychodząc na narty. To były ciężkie dni do usiedzenia w miejscu i żeby rozładować energię Marta z sekcji aerobiku sportowego prowadziła w sali kominkowej zajęcia sportowe dla zainteresowanych. Stworzyła się również grupa biegaczy na trasie Korbielów – granica ze Słowacją, i z powrotem. Cóż, prawdziwi sportowcy są na tej naszej Politechnice.

Osobiście byłem na sześciu obozach narciarskich. Każdy z obozów był inny, i każdy – co najważniejsze – udany. Grono znajomych narciarzy z roku na rok się powiększa, i gdy spotykamy się w pierwszych tygodniach października – już dyskutujemy na temat wyjazdu w góry. Takie pogaduszki trwają do momentu, gdy spotkamy się w pociągu, który zmierza w wiadomym kierunku.

Jedną z najtrudniejszych bez wątpienia rzeczy na obozie wcale nie jest przestrzeganie regulaminu czy też ciszy nocnej, ale utrzymanie porządku w pokojach. To nie jest proste, na porządki nie ma czasu, chyba że wyjeżdżamy do domu i zostaje ogłoszony komunikat, aby doprowadzić pokój do stanu używalności. Na jednym z obozów wpadł bez zapowiedzi do pokoju

trener z zapytaniem, czy mamy karnety na wyciąg; ogarnąwszy wzrokiem przytulne trzyosobowe gniazdko, powiedział ze zdziwieniem, a może z przerażeniem: „Tu mieszkają przyszłe żony, matki...”. Ale nie tylko trenerzy są zaskakiwani, my sami też. Patrząc na swój nieład na łóżku, koleżanka z przerażeniem powiedziała:

- Skąd się wzięły te wszystkie rzeczy na moim łóżku?
- A czyje one są? – zapytałyśmy my, współlokatorki, nie wiedząc za bardzo, o co chodzi.
- Jak to czyje, moje! – spokojnie odpowiedziała nam koleżanka.

Wieczorami bawimy się równie dobrze, jak w dzień, tyle że zabawy na śniegu zamieniamy na zabawy integracyjne w pokojach, jak w przypadku Korbielowa. W Bukowinie Tatrzańskiej jest dodatkowa forma rozrywki, czyli miłe spotkania w góralskich knajpkach, gdzie można sączyć przez słomkę ciepłutkie piwko z miodem i goździkami lub delektować się pysznym grzaniem winem w glinianym garnuszku, słuchając góralskiej muzyki.

Późnym wieczorem gramy w karty, chociaż tradycyjne gry karciane ostatnio podupadają. Teraz gramy w mafię. W tej grze celem jest znalezienie i „zabicie” przestępców, ale zazwyczaj giną praworzadni i uczciwi obywatele miasta... Inną z rodzaju głośnych rozrywek są kalambury. Powoduje ona niekiedy śmiech do łez uczestników, gdy jedna z osób dwoi się i troi, aby pokazać na migi tytuł filmu, np. „Zandarm na emeryturze”. Nie da się ukryć, że nie zdarzyło się podczas naszych zabaw po północy dostać reprimendę od



*Trening czyni mistrza*



*Chwila odpoczynku przed kolejnym zjazdem*

trenerów i usłyszeć prośbę o trochę spokojniejsze zachowanie. W tym roku bawiliśmy się w psychiatrę i w barana, dla niewtajemniczonych to zagadka... Jednak żadną zagadką nie będą dla nikogo miłe wieczory spędzone przy kominku, podczas wspólnego śpiewania przebojów tych starszych i tych nowszych przy akompaniamencie gitary, a te niezapomniane chwile były dzięki Wiktorowi z sekcji narciarskiej.

Sylwester. Do Sylwestra przygotowujemy się starannie. Obowiązkowo musi być przystrojona sala balowa, o co dbają architekci i spisują się na piątkę z plusem. Reszta zaangażowana jest w robienie przekąsek, zakupów; i tak pojawiają się przysmaczki w postaci przepysznych kanapeczek, paluszków, owoców... i szampan. Największy problem jest zawsze ze sprzętem grającym, ale w ostatniej chwili on się rozwiązuje. I więcej do szczęścia nam nie potrzeba nic, oprócz dobrego humoru. Nowy Rok witamy z należytym honorem na świeżym powietrzu, w blasku sztucznych ognii, z szampanem i noworocznymi życzeniami.

W Bukowinie Tatrzańskiej tradycją stały się noworoczne wędrówki z Palenicy Białczańskiej przez Dolinę Białki i Dolinę Rybiego Potoku nad Morskie Oko. Jednego roku podczas spaceru ktoś zauważył z boku, na małej polance, okazałe igloo. Ta niesamowita budowla, jak na położenie geograficzne naszego kraju na kuli ziemskiej, spowodowała zachwyt i sesję zdjęciową. W igloo mieściło się na pewno sześć osób, co zostało udokumen-

towane zdjęciami, a rekordy w stylu: ile pomieści polski „maluszek” – nie były pobijane.

Jeżeli chodzi o samą jazdę na nartach, to gdyby to było możliwe, spędzalibyśmy całe dnie na stokach, od świtu do nocy. Każdy jeździ jak potrafi, i z dnia na dzień i z roku na rok podnosi swoje kwalifikacje pod fachowym okiem naszych trenerów. Podczas zajęć obowiązkowych, które sprawiają nam wiele radości, oprócz ćwiczeń poprawiających technikę jazdy na dwóch deskach zdarzają się zawody, gry i zabawy. I jeżeli ktoś myśli, że nie można grać w piłkę (którą udaje rękawica) na śniegu i na nartach, to się myli. Inną atrakcją jest zjazd pod tytułem ciuchcia, w którym uczestniczy cała grupa: stajemy jeden za drugim, obejmujemy się w pasie i po prostu zjeżdżamy...

Staramy się być na stoku profesjonalistami i naśladować naszych instruktorów narciarstwa w każdym calu, nie ograniczając się tylko do samej jazdy. Jak się okazuje, ważną rzeczą w wyposażeniu narciarza są gogle. Podczas zbiórki mojej grupy jedna z doświadczonych narciarek zadała pytanie: „Czy trener zjeżdża z goglami?”. Na to trener: „Jak wieje to tak, zakładam. Dzisiaj jest ładna pogoda, więc jeżdżę bez.” Na to osoba pytająca: „Aha! Ja się tak pytam, żeby lepiej jeździć, i dążyć

do doskonałości”.

Na nartach szalejemy bezpiecznie, choć czasami zdarzają się kontuzje... Bezpieczeństwo jest jednak górą. Podczas bardzo szybkiego i dynamicznego zjazdu całą grupką z całej górki spotkaliśmy się jak zwykle przy wyciągu i zorientowaliśmy się, że brakuje wśród nas jednego z kolegów, który dopiero po chwili do nas dołączył. Na pytanie, co się stało, odpowiedział: „Trenerze, ja nie jestem dawcą organów, mi jeszcze życie miłe”.

W na pozór nudnych sytuacjach, gdy zdarzają się kolejki przy wyciągach, również potrafimy sobie uprzyjemnić czas, na przykład robiąc falę meksykańską kijkami. Widok jest niesamowity, tym bardziej, gdy w tym przedsięwzięciu uczestniczy czterdzieści osób, i nic dziwnego, że bawią się razem z nami inni narciarze ze stoku.

Waletowanie na obozach nie jest przewidziane w regulaminie. Jednak przed rokiem ten punkt regulaminu w Bukowinie Tatrzańskiej został złamany. Cichaczem do domu dostał się gość, dość nietypowy „typek”, taki małowówny. Po zwiedzeniu kilku pokoi i zapoznaniu się z mieszkańcami stwierdził, że nadeszła odpowiednia pora, aby się zdrzemnąć, i uczynił to w łazience w brodziku. Przenocował, lecz pogorszyło się mu samopoczucie, że nie był wstanie sam opuścić swojej noclegowni. Bał-



*Nieoczekiwany gość obozu rozplynął się nad ranem (fot. Mirosław Kiedrykowski)*



wanka wyprowadzili chłopcy.

To, jaką wielką mają fantazję studenci Politechniki Gdańskiej, i jakie mają oryginalne pomysły, może potwierdzić wydarzenie sprzed roku. Było to wydarzenie bezprecedensowe, a stanowił je ślub na nartach, prawdziwy ślub kościelny dwójki studentów naszej uczelni, uczestników obozów w poprzednich latach. Wszyscy goście oraz rodzina państwa młodych zebrał się

na jednym z beskidzkich szczytów. Tylko trzy osoby, łącznie z księdzem, zostały wwieszone na górę, gdyż reszta uczyniła to sama na nartach. Panna młoda oczywiście była, jak tradycja nakazuje, w długiej, białej sukni ślubnej...

Jest i smutna chwila wyprawy w góry, czyli powrót. Wracamy zazwyczaj pociągiem pośpiesznym i staramy się mieć jak najwygodniejsze warunki do nocnej podróży. Po nowym roku nie jest to nawet trudne, tłumów w pociągu nie ma, ale i tak dbamy o wygodę. W tym roku, gdy wracaliśmy zwartą trzydziestoosobową

grupą, była to sprawa prosta i przyjemna do wspomnienia. Cały wagon był nasz, więc z tej radości na każdej stacji do Katowic, na której zatrzymywał się pociąg, stawaliśmy na korytarzu i śpiewaliśmy różne piosenki rockowe... Potem poszliśmy spać i obudziliśmy się, gdy pociąg wjeżdżał na peron gdańskiego dworca, zaśnieżonego dworca...

Aneta Kuryłko

Studentka Wydziału Oceanotechniki  
i Okrętownictwa  
fot. i rys. autorka



Wszystko zaczęło się w listopadzie 2001 roku. Pewnego dnia Tomek Klajbor („podjudzony” ;) przez pana Mieczysława Serafina) powiedział, że reaktywujemy SAR – Studencką Agencję Radiową. Pomyślałem sobie: czemu nie, będzie pewnie fajna zabawa – radio, audycje. Padło pytanie: tylko jak??? No właśnie... był tylko pomysł, ale nie wiadomo było jeszcze, jak go zrealizować. Szybko jednak znalazły się osoby, którym ten pomysł spodobał się równie bardzo, jak mnie. W tym czasie, na katedrze IDIO WETI, niejaki Jacek Moczulski pisał pracę dyplomową o radiu w Internecie – i już wiedzieliśmy, jak będzie nadawał odrodzony SAR. Luźne rozmowy o nowym studenckim radiu toczyły się do grudnia, kiedy to 6.12.2001 odbyło się pierwsze oficjalne zebranie, na którym to 10 osób złożyło podpisy pod pismem stwierdzającym reaktywowanie Studenckiej Agencji Radiowej. W taki oto sposób ruszyła „machina”, której już nie było można zatrzymać...

Jeszcze przed świętami 2001 roku wybraliśmy władze nowego SAR-u. Redaktorem naczelnym został Tomasz Klajbor – sprawca całego zamieszania. Jego zastępcą został Marcin Hasse, dyrektorem programowym – Magda Rosenbajger, dyrektorem ds. technicznych

## ...już ponad rok...

– Jacek Moczulski, a muzycznym – Krzysztof Rutkowski. Radio już miało władzę, ale niestety jeszcze nie było czym zarządzać, skąd i na czym nadawać. Rozpoczęła się batalia o pomieszczenie, sprzęt, pozyskanie nowych, chętnych do współpracy ludzi.

Na każde spotkanie przychodziło coraz więcej osób z pomysłami, jak ma działać SAR. Każdy oznajmiał, że coś załatwił, że coś się ruszyło na jego „odcinku walki”, wszystko zmierzało ku dobremu. W końcu dostaliśmy pomieszczenie w DS2, dzięki hojności katedry IDIO mixer i kilka mikrofonów. Od ówczesnej Pani Prorektor otrzymaliśmy niezbędny komputer! Zaczął się remont sali... czyszczenie, malowanie, budowa reżyserki, instalowanie i łączenie sprzętu, aby już niedługo można było zacząć nadawać. Został jeszcze jeden z wielu problemów – radio internetowe – a gdzie strona www tego radia??? Filip Serewa podjął się zadania – „zmajstrował” piękny portalik, aż miło było popatrzeć.

Wszystko zaczęło być w należytym porządku. Oficjalne otwarcie SAR-u odbyło się w klubie studenckim „Infinium”, impreza była połączona z koncertem Voo – Voo akustycznie, a potem znów wróciliśmy do prac wykończeniowych naszej siedziby, by w marcu Rektor PG i liczni zebrani goście dokonali oficjalnego otwarcia nowego studia SAR. No i zaczęło się... audycje, wywiady, goście, koncerty, imprezy... wszystko trwa i pewnie będzie trwać jeszcze długo. Pojawiają się nowe osoby, już nie tylko z PG, ale i

z AMG, UG i WSM radio zaczyna nabierać rozpędu.

W międzyczasie agenci SAR-u powierzyli mi zastępstwo szefa radia. Po roku od reaktywowania „pierwsza ekipa” ustąpiła miejsca młodym ambitnym radiowcom. Nowym redaktorem naczelnym został Bartek Przybytek, jego zastępcą – Marta Łabuda, dyrektorem programowym pozostała Magda Rosenbajger, dyrektorem technicznym – Krzysztof Rutkowski, a muzycznym – Piotr Szczuko. Nowa ekipa ma wiele pomysłów na to, jak uatrakcyjnić ramówkę i promować radio. Już niedługo na falach Radia Gdańsk rusza nowa, autorska audycja w pełni stworzona przez obecnych agentów. Miejmy nadzieję, że nowa ekipa swoją ciężką pracą sprawi, że dzisiejsza Agencja zajmie taką pozycję wśród studentów PG i innych trójmiejskich uczelni, jaką zajmował SAR w świadomości żaków Wybrzeża 20 lat temu, że stanie się nierozzerwalną częścią życia akademickiego, że na trwałe wpisze się w życie kulturalne trójmiejskich uczelni, czego sobie i Wam życzymy w Nowym – 2003 – Roku.

Michał Behan

Student Wydziału Elektroniki,  
Telekomunikacji i Informatyki





## Wystrzałowy Finał



W akcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy włączyli się również studenci Politechniki Gdańskiej. Samorząd Studentów PG wraz z Klubem Studenckim „Orbital” zorganizował akcję sprzedaży gadżetów z WOŚP na terenie PG oraz cykl koncertów – Studencki Finał WOŚP w „Orbitalu”. Bezpośrednią relację z imprezy można było usłyszeć w Radiu SAR. Wszyscy bawiliśmy się wspólnie przy mocnej muzyce rockowej i grzańcu z goździkami. W międzyczasie, pod wpływem impulsu i sugestii kolegów z Domu Studenckiego nr 2 Politechniki Gdańskiej, rozpoczęliśmy szybką akcję zbierania pieniędzy na licytację armaty!

Początkowo nie wierzyliśmy, iż cała akcja będzie miała tak szeroki oddźwięk – łąsiliśmy się na armatkę mniejszego kalibru ☺ („57-ka”).

Z minuty na minutę dochodziły do nas nowe wieści odnośnie do sukcesywnie poszerzającego się worka z kasą. Samo

zbieranie funduszy wymagało od przeciętnego zbieracza nie tylko umiejętności sportowca (10 pięter to niemało), ale także szczerego wyrazu twarzy.

Studenci wykazali się niesamowitym zaangażowaniem i taką samą szczodrością – niejednokrotnie sypaną na żółto z portfela ☺.

Krótko po kweście zabunkrowaliśmy się w małym pokoju, gdzie już przez kolejne 40 minut panowała burza mózgów. Główni stratedzy opracowywali naszą strategię i przeprowadzali licytację. W zgiełku telefonów, rozmów i czytanych newsów, w czasie gdy nasz kolega co 10 sekund krzyczał „Odśwież, odśwież!” (przeglądarkę internetową), kwota naszych możliwości co chwila powiększała się.

Na kilka minut przed końcem licytacji „57-ki” obłano nas wiadrem zimnej wody – ktoś przebił naszą ofertę poza granice naszych możliwości ☺. Nagle usłyszeliśmy krzyk „Jest jeszcze jedna!”

i ponownie krew zaczęła nam szybciej krążyć. Pomysłów i pieniędzy przybywało z minuty na minutę. Ostatnie 10 minut licytacji trwało całą wieczność.

Bądź co bądź w grę wchodziła NASZA armata. Jeszcze tylko 2, 3 minuty – podbijać nie podbijać, znajdują się pieniądze czy nie znajdują, no i jedna męska decyzja – przebijamy ☺!

I tak oto w ten jakże prosty sposób mieszkańcy domów studenckich Politechniki Gdańskiej stali się pełnoprawnymi właścicielami nowiutkiej ☺ (pięćdziesięcioletniej) „85- tki”!

Nieoficjalnie ochrzcziliśmy naszą armatkę REPETA.

Serdecznie dziękujemy wszystkim osobom, które wspomogły nasz wystrzałowy cel oraz wszystkim zbieraczom. Za rok kupujemy MIGa ☺!!!

*Magdalena Witkowska  
Zastępca Przewodniczącego SSPG  
ds. Mediów  
Wydział Zarządzania i Ekonomii*



1904                      1945                      2004/2005  
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

## Ideologiczne kształcenie personelu „KMEiPM”

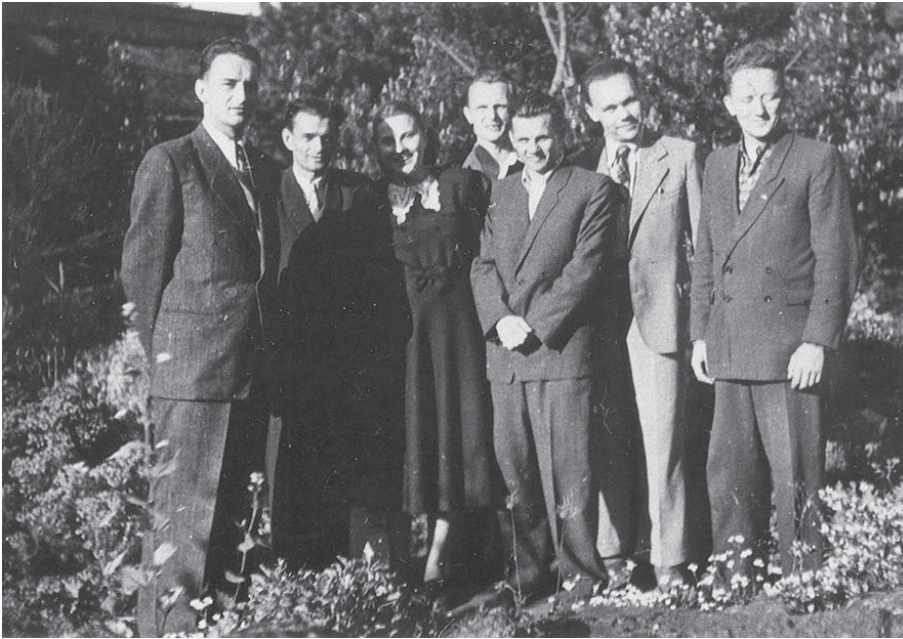
**K**atedra Miernictwa Elektrycznego i Pomiarów Maszyn, czyli „KMEiPM”, w roku 1950/51 obejmowała dwa osobne laboratoria dydaktyczne i do obsługi ćwiczeń zatrudniony był dość liczny zespół asystentów. Już samo Laboratorium Miernictwa Elektrycznego miało 12 stanowisk, prowadzonych równolegle, co wymagało trzech lub czterech asystentów na każdej turze zajęć. W niektóre przedpołudnia odbywały się bezpośrednio po sobie dwie tury ćwiczeń. „Na styku” powstawała niewielka luka czasowa, umożliwiająca

spożycie drugiego śniadania.

W tych warunkach zorganizowaliśmy składkowy „Bar KMEiPM”, który mieścił się w E-24. W wydzielonej szafce stał porcelanowy imbryk elektryczny i przynależny do niego czajniczek; w otwartej blaszance znajdował się zapas cukru, a sucha herbata była przechowywana w tekturowym pudełeczku. Zakupy uzupełniające za każdym razem wykonywał inny członek naszej grupy. Na innej półce stały ordynarne szklanki i obok leżały aluminiowe łyżeczki. Szklanki i łyżeczki nosiły cyfrowe ozna-

czenia właściciela, wymalowane farbą olejną; moja była „7”, a cały nasz zespół liczył osiem osób.

Do tego grona należeli: Leonard Garbolewski, Jerzy Gumiński, Henryk Bitel, Franciszek Przeddziecki, Jerzy Trzeciak, Romuald Dołmat, Lesław Rybarski, Henryk Pajor. Bractwo było żywe, nic więc dziwnego, że przy picu herbatki opowiadaliśmy sobie różne dowcipy. Wielkim powodzeniem cieszyły się różne „gry półsłówek”, jak np. „domki w Słupsku – słomki w dupsku”, „mądra Jola – jądra mola”, „rząd w niepokoju – nierząd w pokoju”, „instytucja w prospektach – prostytutka w inspektach”, „prucie chałata – chucie prałata”, „cacane mycki – macane cycki”, „serwus Niusia – nerwus siusia”, „jest faja – fest jaja”, „stój Halina – huj Stalina”. Podczas odczytu profesora Trzetrzewińskiego w sali E-22 siedziałem koło Gumińskiego i Trzeciaka. Ułożyliśmy kalambur „pędzi glizda – gładzi pizda”. Początkowo zebraliśmy 53 takie kalambury, a w następnych latach doszliśmy do 152 pozycji. Naszą zdobycz spisałem na katedralnej maszynie



Przyjacielskie spotkanie w Parku Oliwskim (3 czerwca 1951). Od lewej: Jerzy Gumiński, Mieczysław i Ola Musielakowie, Henryk Bitel, Franciszek Przędziecki, Jerzy Trzeciak, Adam Hervy

w sześciu egzemplarzach i rozdałem kolegom. Kawały polityczne także kursowały – jak choćby:

„Jaka jest różnica między rządem a pudrem?

Puder jest do twarzy – a rząd do dupy!”

Bardzo lubiane były charakterystyczne nazwiska różnych nacji. Tak np. Japończyk – „Na-raka-nie-rad”, Gruzin „Kał-ma-na-wardze”, Hiszpan – „Don-kutas-po-sam-pas”, Rumun – „Wal-go-desku”. Nowsze odkrycia z tej dziedziny przekazałem memu Tacie, który szczerze się ubawił, gdyż takie powiedzonka kursowały w jego czasach szkolnych – to znaczy przed pierwszą wojną światową.

Wiosną roku 1951 Rada Miejskowa Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskiego, której przewodniczył Szafrański, postanowiła przeprowadzić akcję samokształcenia ideologicznego wszystkich pracowników dydaktycznych. Szefem ZNP na Wydziale Elektrycznym był ówczesny adiunkt Stefan Roszczyk, którego powołano na kierownika tego kursu, jako prelegenta przydzielając Jerzego Pikielnego, aktywistę Związku Młodzieży Polskiej; był studentem na naszym Wydziale.

Spotkania dyskusyjne oparte były na studiowaniu książki pod tytułem „Krótki kurs historii WKP(b)”, napisanej pono przez Józefa Stalina. Personel dydaktyczny Wydziału Elektrycznego zo-

stał podzielony na kilka grup, po parę osób. Do jednej z tych grup przydzielono asystentów z „KMEiPM” oraz personel Katedry Elektrotechniki Teoretycznej, do którego należał ówczesny adiunkt Piotr Ciechanowicz. Raz w tygodniu, w godzinach popołudniowych, zbieraliśmy się w salce E-7, leżącej na dole naszego budynku. Prelegent zagajał dyskusję nad rozdziałem „Krótkiego kursu”, który był referowany przez jednego z uczestników. Wszyscy byliśmy bezpartyjni, więc referat z reguły nie był całkowicie poprawny; prelegent przedstawiał stosowne poprawki. Na zakończenie spotkania wyznaczał, kto następnym razem będzie pełnił funkcję referenta.

Przy końcu drugiego takiego spotkania „zaszczyt” ten przypadł mnie. Wolnym popołudniem, w domu, zabrałem się do czytania tekstu trzeciego rozdziału, dotyczącego okresu przed rewolucją 1905 roku. Po przeczytaniu jednej strony poczułem zmęczenie, więc wyciągnąłem się na zasłanym łóżku i tam czytałem dalej. Po pewnym czasie ocknąłem się, bo w pokoju panował już zmrok, który zapadł podczas owej lektury. Tak powstała luka uzupełniłem w następnych dniach – i na wyznaczony termin byłem już przygotowany. Wiedziałem między innymi, że „do rewolucji trzeba trzech czynników: po pierwsze – pieniędzy, po drugie – pieniądze i po trzecie – pienię-

czy”. To odkrywcze spostrzeżenie „Chorażego Światowego Obozu Pokoju” mocno utrwaliło się w mojej pamięci.

Na najbliższym szkoleniu Pikielny wezwał mnie do wypowiedzi. Wydawało mi się, iż powinienem rozpocząć od jednoznacznego określenia osoby autora omawianej publikacji. Na początku stwierdziłem więc, że Józef Stalin to rewolucyjny pseudonim gruzińskiego rewolucjonisty, którego nazwisko brzmiało „Jak-Sra-To-Kwili”. Tak właśnie brzmiało inne „nazwisko” Gruzina! W tym momencie skonfundowany zamilkłem.

Obecni – wraz z prelegentem – zareagowali głośnym śmiechem. Po chwili podjąłem mój referat, który już żadnej dalszej sensacji nie wywołał. Muszę tutaj podkreślić, iż mojej wpadki Pikielny nie odraportował wyżej, dzięki czemu żadne reperkusje mnie nie dotknęły. Po zakończeniu całego cyklu tego szkolenia otrzymaliśmy świadectwa, wystawione na drukowanych formularzach, sygnowanych przez Związek Zawodowy Nauczycielstwa Polskiego, a podpisanych przez Roszczyka. Miałem ten dokument jeszcze parę lat temu,

Jerzy Sawicki  
Wydział Elektrotechniki i Automatyki  
fot. autor





1904 1945 2004/2005  
JUBILEUSZ POLITECHNIKI W GDAŃSKU

## Paweł Jasienica i Politechnika Gdańska

### Odślona trzecia

*„Ocean jest pozbawiony sumienia. (...) był zawsze nieprzejednanym wrogiem okrętów i ludzi, (...) a złości jego nie nasyciła bynajmniej ilość ofiar (...) zawsze gotów jest mamić i zdradzać, druzgotać i zatapiać niepoprawnych optymistów. (...) Jeśli nie zawsze starczy mu furii, aby zdruzgotać, gotów jest każdej chwili zatopić cichaczem. Najbardziej zdumiewającym dziwem głębin jest ich bezdenne okrucieństwo.”*

*Joseph Conrad „Zwierciadło morza”*

Do pokonania żywiołu, jakim jest morze, potrzebny jest rozum ludzki. Krucho łupiny, którymi pływali nasi przodkowie, dawno już przeszły do historii. W dzisiejszych stocznicach buduje się statki przypominające niewielkie miasteczka. Okazało się, że dzięki technice i naukowym metodom można przeciwstawić się potędze przyrody, chociaż nie można jej pokonać – zawsze bowiem będzie miała ona nad nami przewagę.

Paweł Jasienica, wędrując po Politechnice Gdańskiej, szczególną uwagę zwracał na to wszystko, co związane było z morzem. Przyglądał się, analizował, poszerzał swoją wiedzę i coraz bardziej zachwycał się ludźmi, których poznał, a których zapamiętał, zaangażowanie, pomysłowość, inwencja i pasja, z jaką realizowali swoje plany, były godne i podziwu, i najwyższego uznania.

Dzięki profesorowi Aleksandrowi Rylke, wykładowcy na pierwszym w dziejach naszego szkolnictwa Wydziale Budowy Okrętów, poznał nie tylko suchą teorię, którą zapewne – jako humaniście – trudno byłoby mu zrozumieć, ale praktycznie uczestniczył w pracach i eksperymentach, przeprowadzanych na Wydziale i w terenie. Oczami laika patrzył na wodowanie boczne i usiłował zrozumieć, dlaczego jest ono lepsze od wodowania wzdłużnego. Profesor, który za wprowadzenie metody wodowania bocznego został odznaczony Nagrodą Państwową, wyjaśnił mu, że Amerykanie stosują ją już od dawna, i przedstawił konkretne powody świadczące o korzyściach płynących z jej stosowania.

*Taka jest pierwsza kategoria korzyści metody wodowania bocznego: łatwość, taniość, operatywność. (...)*

*Wiadomo na szerokim świecie o wodowaniu bocznym. Całkowita odrębność polskich prac na tym polu polega na dążeniu do naukowego zbadania kwestii. Mają być najdokładniej poznane wszystkie zjawiska występujące podczas samej operacji i przygotowań do niej. Zdobyta wiedza ujęta zostanie w podręcznikach. Dzięki temu każdy fachowiec poradzi sobie sam, nie potrzebując uciekać się do łaski wtajemniczonych. Tak ma się dziać w kraju, który dopiero przystępuje do rozbudowy sieci swoich dróg i urządzeń wodnych, zarówno morskich jak i śródlądowych. Chodzi o intelektualne uzbrojenie specjalistów, którzy w przyszłości pracować będą w przystaniach nad Bałtykiem i nad wewnętrznymi „morzami”.*

*Myszę, że to ze względu na taki właśnie charakter prac profesor Rylke otrzymał nagrodę w tym dziale nauki, a nie w innym.*

Ponieważ trudno byłoby eksperymentować na terenie stoczni, dlatego badania wykonywano w laboratorium Morskiego Instytutu Technicznego. Współpracujący z profesorem absolwenci Politechniki Gdańskiej przygotowali specjalną aparaturę, do której wykonania wykorzystano wszystko, co się dało – nawet części znalezione na śmietnikach. Modele statków – wierne kopie wielkich pierwowzorów – pływały w basenie, którego dno można było modelować, i w którym, zmieniając poziom wody, można było również regulować wysokość progów, z którego spuszczano statek na wodę. Do utrwalenia każdej fazy eksperymentu używano aparatu filmowego, ponieważ prędkość wodowanego obiektu była tak wielka, że tylko ten sposób umożliwił przesledzenie każdego ułamka sekundy przebiegu operacji. Potem, oczywiście, przeliczano to na prawdziwe wymiary statku – wielkiego transportowca do przewozu drobnicy, lub niewielkich rozmiarów rybackiego trawlera.

Jasienicę zaskoczył profesor Aleksander Potyrała z Katedry Konstrukcji Okrętów, który rozpoczął spotkanie nie od spraw bieżących, ale od historii. Okazało się, że Wydział prowadzi badania związane z dziejami polskiego budownictwa okrętowego. Pracownicy docierają do wszelkich źródeł mogących pomóc w opracowaniu monografii na ten temat. Informacje znajdują w archiwach i księgozbiorach, i wszystkie umieszczają w specjalnej kartotece.

Z zebranych materiałów wynika, że wbrew rozpowszechnionym mniemaniom nasz najstarszy „przemysł stoczniowy” wcale nie był wzorowany na skandynawskim. Prapomorzanie mieli swój własny, znacznie lepszy sposób łączenia klepek. Nigdy też nie uszczelniali ich włosiem, tylko mchem. Ozdo



*Profesorowie PG – od lewej: Aleksander Potyrała, Robert Szewalski, Jan Madejski, Stanisław Hueckel, Kazimierz Zygmunt*



Zespół Biura Konstrukcyjnego i wytwórni turbin ZAMECH-u z członkami komisji odbiorczej pierwszej turbiny TK50. W środku – profesor Robert Szewalski

by statków odznaczały się wysokim poziomem artystycznym. Oszczędniejsze w wyrazie, nie były tak rozwichrzone i – *sit venia verbo* – „barokowe” jak u Wikingów.

Łódź sporządzona u nas stanowiła wcale niebyły środek komunikacji, skoro szczątki jednej z nich znalezione zostały aż na wschodnim wybrzeżu Anglii.

Gdańscy okrętowcy pragnęli, by niegdyś rzemiosło i sztukę nie tylko wspomogła, ale wręcz zastąpiła solidna wiedza oparta na matematycznych wzorach. Polskie przepisy gwarantowały solidne wykonanie, a tym samym bezpieczną żeglugę. Każdy statek musi być ubezpieczony, ale żadne towarzystwo asekuracyjne nie ubezpieczy obiektu pływającego, którego nie wciągnięto do specjalnych rejestrów. Profesor Potyrała jest założycielem Polskiego Rejestru Statków, w którym znajdują się informacje o stanie technicznym każdego z obiektów naszej małej i dużej floty. Orzeczenia tej instytucji mają charakter dokumentów prawnych, szczególnie ważnych dla armatorów. Pierwsze towarzystwo klasyfikacyjne Bureau Veritas powstało we Francji w roku 1828, w Polsce datuje się ono od 1 lutego 1947 roku. Przed wojną mieliśmy (od 1938 r.) Polski Rejestr Żeglugi Śródlądowej, obejmujący 60% statków. W Gdańsku działały w tym czasie rejestry niemiecki, angielski i francuski. Ponieważ statki wymagają klasyfikacji i nadzoru technicznego, dlatego w 1947 roku powstała w Gdyni placówka Lloyd's Register, która bardzo szybko została zlikwidowana. Okazało się, że Anglicy trudnili się przede wszystkim szpiego-

stwem przemysłowym, dającym im wgląd w całość naszej gospodarki, a szczególnie przemysłu.

Z przemysłem okrętowym kooperują zakłady z całego kraju. Instytucja klasyfikująca statki nadzoruje ich budowę, ale również przyjmuje, bada i opiniuje wszystkie potrzebne materiały. Kontrolą objęte są jednostki morskie oraz cała żegluga śródlądowa. Okazało się, że kooperanci z głębi kraju uprawiali na wielką skalę partactwo i brakoróbstwo, co stanowiło śmiertelne zagrożenie dla okrętów pływających po morzach i oceanach.

Dlatego Wydział Budowy Okrętów tak przygotowywał swoich studentów, aby potrafili oni sprostać surowym wymaganiom, które określają morskie przepisy. Paweł Jasienica tak pisze o roli Politechniki w tym zakresie:

*Strategia powiada, że rezerwa jest to ta część siły zbrojnej, którą się przeznaczają do wymierzenia decydującego ciosu. W tym sensie za rezerwę Polskiego Rejestru Statków uważać należy Politechnikę Gdańską z jej Wydziałem Budowy Okrętów oraz innymi. Prowadzi się tu nieustannie prace badawcze w dziedzinie teorii i konstrukcji okrętu, spawalnictwa, technologii materiałów maszynowych, gospodarki cieplnej kotłów, elektryczności, ochrony przeciwpożarowej itp.*

*A student? Ucz się on o rejestracji statków właśnie tak, jak jego kolega – kandydat na adwokata czy sędziego – prawa. Inspektora robi zeń doświadczenie oparte na wiedzy wyniesionej z Politechniki.*

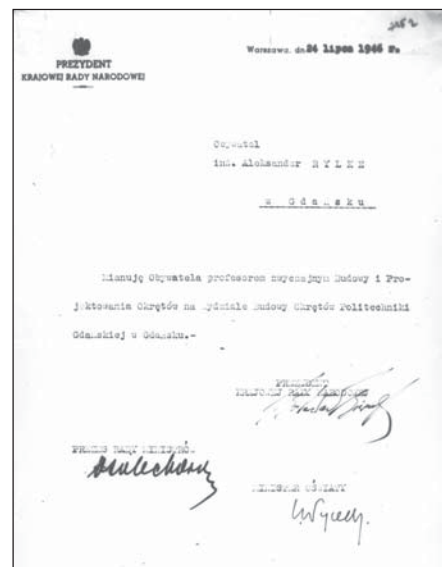
Potrzeba pełnych pięciu lat, by przygotować młodego człowieka do odpowiedzial-

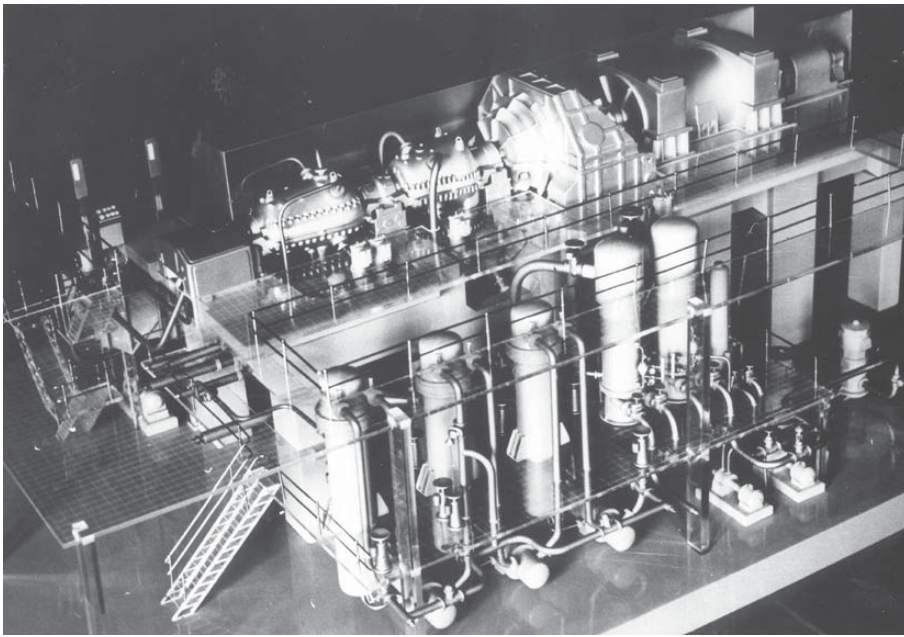
nego i rzetelnego wykonywania zawodu inżyniera. Podczas konferencji na szczeblu centralnym – jak podaje Jasienica – gdy padło stwierdzenie, że do przygotowania spawacza wystarczy sześciomiesięczny kurs, profesor Adolf Polak odpowiedział: *Nie, proszę pana! To tylko ministra można w pół roku wyszkolić, spawacza – nie.*

To właśnie profesor Polak z Wydziału Mechanicznego, bez którego nie istnieje żadna uczelnia techniczna, jest konstruktorem pierwszej polskiej maszyny okrętowej. Została ona zainstalowana na „Soldku”, naszym pierwszym statku pełnomorskim, i miała moc 1300 koni mechanicznych.

Profesor znany był nie tylko z ostrego języka, ale również z trzeźwego myślenia, solidności i talentu konstruktorskiego. Ostro krytykował brakoróbstwo. Zademonstrował swojemu gościowi ze stolicy przyrząd kreślarski, w którym nie dokręcały się zwyczajne śrubki. A kadłuby i maszyny okrętowe robiliśmy na piątkę! *Oby przymorze zdołało co rychlej zarazić cały kraj ową charakterystyczną rzetelnością roboty, która na wszystkich wybrzeżach świata stanowi odwieczną tradycję.*

Aby zmniejszyć awaryjność urządzeń, co szczególnie ważne jest na morzu – żywiło, z którym człowiek ciągle sobie nie może dać rady – trzeba poddać szczegółowej analizie albo całe urządzenia, albo ich fragmenty. Katedra Pomiarów, Badania Maszyn i Gospodarki Ciepłej miała w swoich zbiorach ogromną kolekcję uszkodzonych eksponatów, pokręconych, wykrzywionych, zniekształconych w najdziwniejszy sposób, pokrytych nalotami jednolitymi lub porowatymi. Profesor Feliks Sauter, szef Katedry, wraz z adiunktem mgr. inż.





Turbina kondensacyjna – 1959 r.

Włodzimierzem Turykiem zajmował się ustalaniem przyczyn awaryjności oraz projektowaniem takich urządzeń, których awaryjność byłaby minimalna. Katedra współpracowała z profesorem Polakiem w zakresie badania wpływu ciepła na pracę kotłów parowych.

Profesor Polak uważał, że możliwości rozwoju budownictwa okrętowego są nieograniczone, a doświadczenia wyniesione z tej dziedziny naszego przemysłu wykorzystać można w innych gałęziach przemysłu. I robiono to z doskonałym skutkiem.

Jeszcze jedna z katedr Wydziału Mechanicznego związana była ściśle z okrętownictwem i konstruowaniem urządzeń morskich. Była to Katedra Budowy Silników Spalinowych, kierowana przez profesora Taylora. Zaopatrywała ona wszystkie kutyry rybackie oraz inne niewielkie łodzie w silniki spalinowe o małej mocy. Pracownicy Katedry mieli świadomość, że nie rozwinęli wszystkich swoich możliwości. *Planuje się dopiero budowę specjalnego laboratorium, gdzie w oparciu o szczegółowe badania można będzie przeprowadzić analizę dotychczas używanych silników i opracować nowe zmiany konstrukcyjne. Marzy się też o szczęsnej chwili, kiedy zainteresowane „resorty” centralne pojmą, że współpraca z Politechniką może przynieść błogostawione skutki. Ale już i dziś ma się na oku ogromne szanse pracy i wytwarzanie na eksport.*

Już przy okazji wydobywania z dna morskiego wraka pancernika „Gneisenau”, które nadzorował profesor Aleksander Rylke, wykorzystano do celów bardzo praktycz-

nych tysiące ton doskonałej stali. „Gneisenau” wyposażony był w trzy potężne turbiny o łącznej mocy 165 tysięcy koni mechanicznych, co równa się połączonej sile trzech elektrowni wielkomijskich. Taka moc ma decydujące znaczenie przy rozwijaniu prędkości i sprawności bojowej. Od turbin zależy zatem sprawność jednostki pływającej. Turbiny wykorzystuje się również w przemyśle chemicznym, papierniczym, włókienniczym, elektryfikacyjnym, hutniczym i przede wszystkim w energetyce. Nawet w reaktorze atomowym potrzebna jest turbina.

- *W 1945 roku, za uruchomienie pięciusetkilowatowej turbiny, otrzymałem prawo do dwóch żarówek w mieszkaniu...*

- *Do dwóch żarówek? – przerwałem zdumiony niezmiernie. – Pan profesor chyba żartuje. Cóż za norma, dwie żarówki!*

- *Proszę pana, pięciusetkilowatowa turbina na cały Lwów, to kropla w morzu. Dwie żarówki to dużo w tych warunkach. Po uruchomieniu następnej, większej, wszyscy profesorowie Politechniki otrzymali taki sam przywilej.*

*Człowiekiem tak hojnie nagrodzonym był profesor Robert Szewalski, od 1945 roku kierownik Katedry Maszyn Ciepłych Wirnikowych, członek Polskiej Akademii Nauk, do niedawna rektor Politechniki.*

Na biurku profesora stał tylko jeden przedmiot – łopata turbiny parowej. To właśnie jemu wiele, a może nawet wszystko, zawdzięcza nasz powojenny przemysł. Bowiem profesor opracował części zamienne do turbin, które obsługiwały wszystkie

zakłady przemysłowe. Produkcję trzeba było poprzedzić wykonaniem żmudnych pomiarów, których precyzja wynosiła setne części milimetra. Do 1954 roku naprawiono 100 turbin o łącznej mocy ponad 200 tysięcy kilowatów.

Na przełomie lat 1948-1949 Zakłady im. Karola Świerczewskiego w Elblągu wyznaczone zostały do produkcji kompletnych turbin parowych. Zespół profesora Szewalskiego, z którym współpracował dr Stefan Perycz, wykonał projekt turbiny wraz instrukcją montażu, eksploatacji i badań ruchowych. Turbina ta liczyła kilka tysięcy części. Uruchomiono ją 3 września 1953 roku. Była to pierwsza polska turbina przemysłowa, TP2. A była tak doskonała, że po osiągnięciu pełnych obrotów można było na jej obudowie postawić sztorcem dwudziestogroszówkę. I nie przewróciła się!

Profesor Szewalski i jego pracownicy wykazywali się wielką aktywnością. Zajmując się turbinami, przy okazji skonstruowali wiele urządzeń, bardzo często wykonanych „z niczego”, i do tego metodą chałupniczą. Do nich zalicza się kurzowiec, unikatowe urządzenie do badania sprawności układu łopatkowego w tunelu aerodynamicznym. Innym cudem techniki, jednym z trzydziestu kilku na świecie, był – wykonany ze starej sprężarki z zestrzelonego niemieckiego samolotu – tunel nadźwiękowy, służący do cechowania przyrządów we wspomnianym wyżej tunelu aerodynamicznym.

Muszę przyznać, że Jasienica zaimponował mi wiedzą, którą sobie przyswoił podczas stosunkowo krótkiego pobytu na naszej Uczelni. A on natomiast zachwycał się zaangażowaniem i pasją pracowników. *Ostupałem, kiedy mnie tak zasypano problemami, o których przedtem ucho moje nie słyszało. (...) Oni domagali się najśmielszego nowatorstwa... (...) rozmawiałem po prostu z zespołem ludzi, którzy aż się trzęśli z pasji do szturmowania nowych dziedzin wiedzy i techniki. Zwłaszcza takich, których kontury całkiem mgławicowo zaczynają się rysować na horyzoncie nauki. (...) I to oni właśnie co dzień stykają się z setkami studentów. Można mieć nadzieję, że nie tylko przekażą im swą wiedzę i doświadczenie, ale ponadto zarażą ich swą pasją i umiłowaniem postępu.*

Ewa Dyk-Majewska  
Biblioteka Główna

Wszystkie zdjęcia pochodzą z Pracowni Historii Politechniki Gdańskiej





1904 1945 2004/2005  
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

## Profesorowie Politechniki Gdańskiej w anegdocie

W roku 1950 po wprowadzeniu de-nominacji ukazały się różne plakaty. Był również plakat przedstawiający rolnika w słomkowym kapeluszu, a na pierwszym planie duża moneta jednozłotowa oraz napis: „Nowa Złotówka Biję Bogacza”. Ktoś taki plakat przypiął na drzwiach gabinetu profesora **Kazimierza Bogacza**. Profesor serdecznie się uśmieł i tak mu się to podobało, że do końca jego aktywności w Politechnice – plakat ten zawsze wisiał na drzwiach jego gabinetu.

★★★

Rok akademicki 1949/50, w Auditorium Maximum wypełnionym po brzegi słuchaczami I roku wykłady z matematyki prowadzi profesor **Bronisław Czerwiński**. W pewnej chwili mówi o podziale na dwie nierówne połowy. Powiedzenie znane od dawna, jako taki sobie nonszalancki żarcik. Ale studenci I roku uznali, że zrozumienie tak absurdalnego zwrotu, wypowiedzianego przez profesora matematyki, należy potwierdzić gromkim śmiechem. Profesor na to – Czego się państwo śmiejecie, przecież to jest określenie umowne; tak jak ludzie umówili się mówić »Ojciec Święty«, a przecież papież nie jest ani ojcem, ani świętym, więc można się umówić, że połowy nie są równe.

★★★

Profesor **Stanisław Kaniewski** bywał stosunkowo częstym gościem w laboratorium maszyn elektrycznych, wówczas witał się z wszystkimi pracownikami, a gdy przy powitaniu któryś z pracowników z zażenowaniem mówił: „przepraszam panie Profesorze, ale mam brudne ręce”, wówczas nestor polskich maszynowców, nie rezygnując z uścisku

dłoni: „to nie jest brud – odpowiedział – tylko dowód szlachetnego trudu”.

★★★

Profesor **Antoni Kozłowski** wykładał maszynoznastwo; pewien student miał kłopoty ze zdaniem tego przedmiotu, poszedł więc do profesora i zwraca się z następującą propozycją: „panie profesorze, załatwmy tę sprawę polubownie. Pan mi zaliczy maszynoznastwo, a ja przeniosę się na Politechnikę Warszawską i nie będzie pan miał ze mną więcej kłopotów”. Profesor zareplikował to słowami: „no dobrze, ale zadam jeszcze jedno pytanie, jeżeli pan odpowie, to zaliczę, a jeżeli nie, to nie zaliczę. Zgadza się pan?”. „Tak”. „A zatem, dlaczego wciąż jak jedzie pod górę, to sapie?”. Delikwent rozwijał różne teorie termodynamiczne i mechaniczne, ale profesor ciągle zaprzeczał; w końcu pyta: „no co, nie wie pan?”. „Nie”. „No bo maszynista się zmęczył”. „Panie profesorze, ależ to żart”. „A czy ja panu mówiłem, że będę pana pytał poważnie? Jeżeli pan żartuje, to ja też mogę”.

★★★

Profesor **Longin Kurski** po powrocie z oflagu współpracował z portem w Gdyni; komisarzem portowym był oficer NKWD. Profesor opowiadał, że pewnego dnia wywiązał się między nimi taki dialog: „Nu pan Kurski, bardzo źle, co dzień pali się jeden, dwa silniki”. „No to ja się bardzo cieszę”, odpowiada profesor. „Jak to?! Przecież to sabotaż!”. „Jaki tam sabotaż”, replikuje profesor „jeżeli te silniki pracują w takich warunkach od dwudziestu lat, to powinny spalić się wszystkie od razu, to ja się cieszę, że pali się tylko jeden, dwa dziennie”.

Na drugim roku, po trzecim semestrze był egzamin pisemny z technologii metali. Do wypełnionego audytorium E41 wkroczył adiunkt **J. Miś** z obstawą kilku asystentów. Wprowadzili rygor, jakiego tu nie znano ani wcześniej, ani później. Gdy tylko ktoś sięgnął po chusteczkę do nosa – wylatywał. Oczywiście ocen niedostatecznych też było dużo. Na następnych zajęciach na żale skierowane pod jego adresem, atmosferę rozładował powiedzeniem: „no chłopcy, słuchajcie, mnie tam wszystko jedno, ale co ja mogę zrobić, że moi asystenci to takie psy”.

★★★

Profesora **Adolfa Polaka** egzaminy oblewało się jeden po drugim, a każdy egzamin był wpisywany do indeksu; ponieważ brakowało miejsca, trzeba było dokleić pasek papieru i dalej chodzić na egzaminy, i dalej zbierać oceny niedostateczne. Wobec tego jeden ze studentów po pierwszym niezdanym egzaminie doszedł do wniosku, że szkoda czasu na tylokrotne chodzenie, sam sobie wpisał oceny niedostateczne, dokleił pasek papieru, zapisany ocenami niedostatecznymi oraz podrobionym podpisem, i z wolnym ostatnim miejscem poszedł na egzamin, no i egzamin zdał.

Inna anegdota mówiła o bardzo dobrym studencie, który gdy poszedł na egzamin, wyniku z ciekawością oczekiwało pod drzwiami pół rocznika. Profesor powiedział mu, aby obliczył koło zamachowe. Student podszedł od strony naukowej, szybko wyprowadził równania różniczkowe, wzory całkowite (profesor nie lubił całek, mówił pogardliwie „Na cu te róbaczki”), rozwiązał zadanie i podał profesorowi. Profesor patrzy, chrząknął i wywiązał się między nimi taki dialog: – Hmm, a skąd pan to wie? – Przy-

swoilem sobie, panie profesorze. – Hmm, to z pana mądry człowiek, ale zrób pan to po ludzku; co za idiota będzie w ten sposób liczył! Student ponownie szybko rozwiązał postawione mu zadanie za pomocą uproszczonych wzorów i podaje pracę profesorowi. Profesor przegląda – Hmm, no dobrze. Daj pan indeks. Wpisał ocenę dostateczną, a koledzy śmieli się, że ta ocena, to za naukowe podejście do zagadnienia.

Profesor zachodzi do apteki i prosi o tabletkę aspiryny; farmaceutka pyta – Zapakować panu? Na co profesor – Nu, niech pani da wykałaczkę, to może ja-koś zaturlam do domu.

Do profesora dotarła wiadomość, że dziekan ma zastrzeżenia, iż wpisywał do indeksu tróję z dwoma minusami. Gdy więc przyszedł student z indeksem, wpisywał tróję i pięć minusów, z komentarzem skierowanym do studenta – Jeden dla mnie, jeden dla pana i trzy dla dziekana.

Gdy dotarło do profesora, że dziekan ma zastrzeżenia do oceny – trója z minusami, bo nie wie, czy profesor zalicza egzamin, czy nie, wówczas przy najbliższej okazji, napisał w indeksie „2 zaliczone”, a wówczas ocena 2 była oceną niedostateczną.

Profesor nie lubił egzaminów komisyjnych. Na jednym z takich egzaminów zadał pytanie – Jak do sowieckiego gramofonu zastosować amerykański olej? Student milczy, wówczas profesor zwraca się słowami: – A szanowna komisja wie?; Komisja zaskoczona milczy, więc profesor kończy – Nu, jeżeli szanowna komisja nie wie, to u mnie student zdał.

Innym razem profesor widzi, że egzaminator dąży do oblania studenta, zwraca się więc do niego – Panie profesorze, a ile razy pan zdawał u mnie ten egzamin? Indagowany odpowiada – Dzieciwieć. – I zdał pan? – Tak. – A teraz chce pan studenta oblać za jedenastym razem? U mnie student zdał.

W letni słoneczny dzień profesor w stroju kąpielowym wchodzi na plażę, jeden z dwóch opalonych „na murzyna” byczących się maturzystów mówi – Popatrz – jaka biała kosmata małpa idzie. Po trzech latach przyszli do profesora na egzamin. Przywitał ich słowami – To ja byłem tą białą kosmatą małpą na plaży, a panowie nie macie czego tu szukać. Przenieśli się na inną uczelnię. Itd. itp.

**D**wa studenci umawiali się z **profesorem Stefanem Roszczykiem** na egzamin końcowy z maszyn elektrycznych. Profesor powiedział, aby przyszedli w czasie przerwy. Gdy zgłosili się, przyszło jeszcze czterech innych i wmawiali w profesora, że z nimi też się umówił. Profesor rozżołościł się, posadził wokół stołu i strzelał jak z karabinu maszynowego, rzucał pytanie i przez kilka sekund wskazywał palcem tego, który miał odpowiedzieć, jeżeli nie odpowiedział, wskazywał następnego itd. W końcu przerwy pierwszy z umawiających się dostał ocenę dobrą, kolega, który razem z nim się umawiał dostał ocenę dostateczną, a pozostali dostali oceny niedostateczne.

Do pokoi przyjaciela profesora doc. Zdzisława Manitiusa i jednego z asystentów, znajdujących się na drugim piętrze, można było dostać się tylko przez laboratorium usytuowane na parterze. Profesor dzwoni i sądząc, że rozmawia z Manitiusem, wzburzony mówi, że ma zajęcia i stoi ze studentami pod drzwiami, bo ktoś je przed chwilą zamknął na klucz. Asystent nie protestując, że to on odebrał telefon, odpowiada – już schodzę i zaraz otworzę – gdy zbiegł, Profesor już był ze studentami w pomieszczeniu i całe swoje niezadowolenie wylał na Bogu ducha winnego asystenta, który nie wiedział ani kto zamknął drzwi, ani kto je otworzył. Było mu przykro i unikał Profesora przez trzy dni. Profesorowi to zajęcie też nie dawało spokoju, a ponieważ nie spotykał przez parę dni swego asystenta, więc trzeciego dnia około południa, zmęczony wejściem niewygodnymi schodami, przyszedł do jego pokoju i przeprosił za to nieporozumienie.

Na seminarium dyplomowym, jeden z dyplomantów spóźnił się, a następnie zachowywał się niepoważnie: kręcił się, rozmawiał, przeszkadzał innym. Wreszcie Profesor nie wytrzymał, krew mu uderzyła do głowy, zrobił się czerwony na twarzy, aż się obecni zaniepokoiili o stan jego zdrowia, zwymyślał studenta. Wszyscy byli spięci i zaniepokojeni, ale zajęcia przez ponad godzinę odbywały się normalnie. Wreszcie seminarium skończyło się i... przy wszystkich Profesor przeprosił studenta za swoje uniesienie.

Profesor S. Roszczyk był człowiekiem impulsywnym i gdy był niezadowolony z jakiegoś wydarzenia w Katedrze,

zwłaszcza w laboratorium, pretensje wylewał na pierwszego spotkanego pracownika Katedry. Pracownicy poznali już jego wybuchową, a gołębią duszę, i za zwyczaj przyjmowali jego merytoryczne uwagi ze spokojem i czekali, aż się „rozładuje”. W laboratorium najłatwiej zwykle było zastać jednego z asystentów, więc on też „obrywał” najczęściej, co znosił ze spokojem. Jednak pewnego razu „oberwał” za sprawę, z którą nie tylko nic nie miał wspólnego, ale o której również nic nie wiedział. Tak go to rozbawiło, że parsknął śmiechem. Profesor zamilkł, spojrział ze zdziwieniem i odszedł. Od tego czasu nigdy go już nie „obwiniał”, a na pewno za nie jego grzechy. Na pewnym posiedzeniu Rady Instytutu jeden z profesorów zaatakował młodego naukowca spośród pracowników prof. Roszczyka, zarzucał mu, że jest za młody, za mało doświadczony itp., żeby prowadzić tak poważną pracę naukową. Wówczas prof. Roszczyk z pasją i zapamiętaniem Szarej Wilczycy broniącej swego szczeniaka – bronił zaatakowanego, wykazując, że właśnie on jest najbardziej predestynowany do prowadzenia tego tematu.



**P**anował taki zwyczaj, że na pierwszą godzinę zajęć student, bez żadnych konsekwencji, mógł się spóźnić się do 15 minut. **Profesora Stanisława Szpora** denerwowało, gdy podczas wykładu o chwilę ktoś wchodził i przerywał tok wykładu. Wreszcie po 15 minutach profesor zwraca się do sali ze słowami: „proszę państwa, ja szanuję kwadrans akademicki, ale do kina spóźniałskich wpuszczają po kronice; ja nie chcę być gorszy od kina. Proszę więc po rozpoczęciu wykładu nie wchodzić, a po kwadransie ja państwa sam poproszę”. Od tego czasu nikt nie wchodził, a po 15 minutach profesor sprężystym krokiem podchodził do drzwi, otwierał je z szarmanckim ukłonem i ze słowami: „państwo do mnie? Proszę bardzo” – zapraszał do sali.

Zbigniew Muszalski  
Wydział Elektrotechniki i Automatyki